№ 92. Warszawa, dnia 3 (15) Listopada 1872 roku Tom II. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs 1 kop. 35, Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnéj w 8-miu tomach rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: Rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiém: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwartalnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskiém: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 91*).

VII

Na ślub pani... lub by ją zobaczyć szczęśliwą żoną...

— Panie Sylwanie... tego byś pan nie powinien był mnie powiedzieć!

— Przecież to nieuchronne... masz pani tylko kłopot wyboru...

— Pan sądzisz żem tak łatwa?

— Ale babcia troskliwa... ojciec... oni skłonią.

— Ani oni, ani w świecie nikt nie zmusi mnie pójść przeciw sercu mojemu.

— Lecz i serce pójdzie wreszcie gdy mu samotność zacięży...

Hanna zwróciła się bladą twarzą ku niemu, oczy jéj błyszczały łzą potajemną...

— Czy pan? pan niewiesz i niewierzysz żem ja to serce oddała i że go odebrać nie mogę?...

Ledwie dokończywszy tych strasznych słów, wymówionych z pośpiechem, zarumieniona Hanna zwróciła się ku Lelii... a Sylwan jak przykuty w miejscu pozostał. Zdala można było posądzić że coś go boleśnie zraniło... on tylko rażony był swém szczęściem jak piorunem... Hanna wmięszała się do ogólnéj rozmowy, a z pierwszego salonu śmiech tubalny Dołęgi, który każdemu swemu konceptowi pierwszy robił honory, napełnił wszystkie pokoje.

— Ten się śmieje za całą publiczność—szepnęła Iza...

Niespokojny Oleś wpadł zapraszając panny do kanapy hrabinéj...

VIII.

Przez kilka dni napróżno wyglądała Viola przyjścia Sylwana. Zamknięty u siebie pracował i napawał się wspomnieniem ostatniéj rozmowy, biedne dziewcze nawet mu na myśl nie przyszło... Odebrała za to długi bardzo list od Hermana, którego charakter tak był podobny do ręki brata, iż go omyłką rozpieczętowała. Sylwan dawniéj nieco uparł się był przepisać jéj rolę na któréj kopię czasu nie stało, znała więc jego pismo i cała rozradowana rozerwała pieczątkę. Jakiéż było zdziwienie i smutek gdy zamiast upragnionych słów kilku, znalazła arkusz najdziwniejszéj w świecie prozy pana Hermana...

Rzuciła ją w kąt z razu... później przemogła ciekawość, podniosła papier i zaczęła czytać. Herman z pokorą i smutkiem tłómaczył się przed nią i opisywał jej życie swoje, żartował nie litościwie z ludzi i z siebie.. Tyle było jednak uczucia w tych sarkazmach, bólu ironii i pokory w całym liście smutnym i znękanym iż Viola, rozpocząwszy czytanie ze wstrętem, skończyła z politowaniem.

— Ten jeszcze, rzekła w duchu, lepszy może trochę od drugich... głowę ma przewróconą, lecz serce dobre. Cóż mi potém dodała—to nie mój Sylwan jedyny! Ten którego serca ja pragnę, nie myśli o mnie—ci których ja odpycham, garną się. Co mi po nich!

Trzeciego czy czwartego dnia smutna, znudzona szukała pozoru już tylko aby Sylwana przywabić. Zdawało się biednéj że on się niechce narzucać, że szanuje ją i boi się być natrętnym. Postanowiła więc, pod pozorem roli Julii w Romeo i Juliecie Szekspira... ściągnąć do siebie Sylwana. Wahała się z tém długo... Niechciala pisać, bo się lękała czegoś w liście coby ją mimowoli zdradziło, musiała więc udać się o pomoc do pana Pawła.

Paweł w pierwszéj izdebce rozpatrywał się właśnie w rękopismach, goryczą zapływało mu serce...

— Nie, mówił sam do siebie—nie, mości dobrodzieju, czasy takie są gałgańskie, artyści są fuszery a te trutnie pisać nie umieją. Smarują, smarują że ich człek wyczytać, mości dobrodzieju, nie może.., Wszystko po dyable!

— Panie Pawle! ozwał się głosek znany z trzeciéj izby...

Paweł zdjął okulary i pośpieszył. Viola siedziała z książką rozłożoną na kolanach...

— Mój panie Pawle—rzekła—ja sobie z tą rolą rady nie dam!

— Panienka! zawołał Szerszeń, panienka sobie z tą rolą nie da rady, mości dobrodzieju! Począł się śmiać stary. Ale—przepraszam—graj panienka jak chcesz, to ich wszystkich zakasujesz, ani pojęcia tego nie mają co czynią... fuszery! siano wożą za panienką! wszyscy, jak mi Bóg miły. Talentu za grosz... E! co to mówić aktorowie żadni! zbierana drużyna... panienka by, mości dobrodzieju stołecznéj sceny nie oszpeciła... Jak powiada nieśmiertetny mistrz nasz Szekspir...

— Ale mój drogi, panie Pawle—przerwała żółciowe ekspektoracye Viola—zawsze chciałabym grać jak najlepiéj—potrzebuje porady czyjejś.

— Co, co? krzyknął Szerszeń—a któż z tych z pozwoleniem, osłów, może panience radzić, która masz gieniusz, to jest mości dobrodzieju, Panienka byś ich wszystkich uczyć mogla! Czy nie ten Romeo? Ale, ten się też umywał do Romea...piękny mi kochanek! Do Don-Kiszota po-

dobny... a jak się to zacznie miotać i wiercić po scenie! Któż, mości dobrodzieju tak kocha! Tfu ja mu to mówiłem wiele razy, ale to zarozumialcy... jemu się zdaje żem ja sufler... tak! sufler! a niewie drugi taki cygan, mości dobrodzieju, że ja monarchów grywałem... i to w Warszawie.

Szerszeń gdy raz się puścił trudno było powstrzymać. Zwykle hamowania podejmowała się żona jego, która ten defekt znała... I tym razem pani Pawłowa siedząca w okularach nad suknią Julietty, poczęła sykać.

— Dałbyś pokój—stary—dałbyś pokój.

— A no mi nie przerywaj! rzekł Szerszeń. Gdzie tu kogo się radzić!

— Ale żadnego z nich, uśmiechając się odezwała Viola—chciałam cię prosić czybyś się nie pofatygował do pana Sylwana... on od wielu artystów ma więcéj czucia i... czytał a widział tyle.

— To już jest co innego, mości dobrodzieju, panienko—odparł Szerszeń, to rozumiem i na to się zgadzam — pan Sylwan—także mi mówić proszę.

Uderzył się w czoło. Ten mości dobrodzieju, ma tu! ma. I tu (uderzył się po sercu) całą gębą człowiek! Z nim pomówić miło i szanuje ludzi zasłużonych scenie. . jak ja, mości dobrodzieju do niego to pójdę...

Zawracał się już Szerszeń.

— Mój panie Pawle, rzekła aktorka, a przeproszę go iż śmiem trudzić. Musi mieć robotę.

— O! ten człowiek, co on ma roboty: zawołał Szerszeń, ja wczoraj byłem u niego z wizytą... dał mi lampeczkę wina! Gadaliśmy o Szekspirze...

— A o mnie, nie wspomniał? naiwnie zapomniawszy się spytała Viola.

— Jakto, jakto? mości dobrodzieju—owszem, pytał o zdrowie i czy panienka wody pije i czy nie kaszle?

— A czemuż się sam dowiedzieć nie przyjdzie? smutno mruknęła Viola.

— To taki czek, rzekł Szerszeń, delikatność sama... Młody zwyczajnie, krew nie woda... a wie, z przeproszeniem panienki, że tu u niéj umizgi daremne...

— At, pleciesz ofuknęła Pawłowa widząc rumieniec na twarzy Violi—co bo to za gadanie Pawle...

— Oto—kwoka! mości dobrodzieju! oburzył się na żonę Paweł. Cóż to? złe gadanie gdy ze szczerego serca i szacunku dla osoby, która tego jest godną? Co tobie się do tego mięszać, gdy wyżéj wykształcone osobistości konwersują... Jak mówi mistrz nasz... z łopatą na słońce! mości dobrodzieju!

Pawłowa ramionami ruszała...

— O czemże chciałem mówić—ciągnął niepowstrzymany Szerszeń—a! o tym godnym Ramulcie... Niech panienka mi, mości dobrodzieju daruje co powiem... jemu także za złe mieć niemożna iż rzadko bywa! Człek rozumny... Panienka masz ku niemu sympatyę... a on też... co pewna... co pewna... jak powiada nasz mistrz, z ogniem nie igrać, z sercem nie żartować...

Viola rumieniła się zmięszana, Pawłowa klapnęła starego gadułę po ramieniu.

— A no! dosyć! dosyć! widzisz że się panna rumieni od tego płochego gadulstwa...

Viola uznała też słusznem przerwać ulewę słów, powtórzoną prośbą,—aby szedł pana Sylwana na jaką chwilę dla porady zawezwać.

Paweł wymrukując resztę niedopowiedzianą... odszedł nareszcie, a Szerszeniowa dla bezpieczeństwa zaryglowała drzwi za nim.

Z pewnym żalem do żony, którą uważał za dobrą lecz upośledzoną istotę—pan Paweł wyszedł z domu, w myśli udania się wprost do mieszkania Sylwana. Los zrządził że Herman który krążył ciągle w okolicach domu Violi pochwycił go na drodze. Hermana znał nawet sufler teatralny, bo miał zawsze lożę, i zwano go panem grafem, znał go też z ostatniéj bytności nieszczęśliwéj... z bukietem. Stary był grzecznym dla wszystkich, tu czuł się w podwójnym obowiązku salutowaniu grafa, któremu o mało nie był w konieczności oberwania poły od surduta... Herman też chciwie go przywitał, znajomość dobra z Szerszeniem była dlań nieocenioną.

— Gdzie to tak Pan Bóg prowadzi?... zapytał.

— Za interessami teatralnemi, panie grafie— odparł Szerszeń uśmiechnięty wspomnieniem owéj sceny z bukietem.

— A pilno?

— Dosyć—dosyć! w ogóle, mości dobrodzieju, panie grafie—rzekł Paweł, sprawy teatrów niecierpią zwłoki. Chwila dla artystów stanowi często o ich losie! jak mówi mistrz nasz Szekspir... chwytaj minuty jeśli chcesz mieć godziny swobodne.

— W jakiéj że to sztuce—począł Herman chcąc romowę przedłużyć—znakomitą tą prawdę Szekspir ogłosił?

— A tego panu nieumiem powiedzieć... zastanawiając się rzekł Szerszeń, albo w którymś Henryku lub w Makbecie...

— Myślę że w Makbecie! potwierdził Herman.

— I ja tak sądze dodał Szerszeń mości dobrodzieju, panie grafie. Jestem tak przejęty nieśmiertelnym mistrzem iż cały nim żyję...

— Prawdziwy artysta rzekł Herman.

— Co pan myśli i ja grywałem monarchów i to na warszawskiéj scenie rzekł Szerszeń z pewną dumą... Koneserowie znajdowali w mojéj grze takie rzeczy, panie, takie rzeczy że nieboszczyk Dmuszewski raz mi powiedział, o czém nigdy zapomnieć nie mogę: Szerszeń, ty nowe światy, odkrywasz! Ale cóż! Intrygi zazdrość... wykłuły mnie wysadziły sponiewierały... zszedłem na suflera... A niech pan, mości dobrodzieju, spyta ich—tych niewdzięczników, ile ja im dobrych rad daję... A cóż myśl podchwycą... i Bóg zapłać, żaden nie powie.

Herman bawił się gadulstwem jego...

— Słuchaj, panie artysto,—jeśli ci nie pilno— chodź na lampkę wina...

Postawiony pomiędzy lampką wina, powolném uchem sympatycznego młodzieńca—a obowiązkiem spełnieniu rozkazu Violi. Szerszeń sądził że—potrafi nic nie tracąc, pogodzić wszystko...

— Chwileczkę małą, mości dobrodzieju! panie grafie... mógłbym mu poświęcić jeśli wola i łaska—lecz małą. *d. c. n.)*

LISTY Z CIEMNEJ ULICY.

Fałszywe, urywane jakieś dźwięki dochodzą moich uszu, w chwili właśnie, gdym wsparłszy głowę na obu dłoniach, najwygodniejszą ku myśleniu obrał sobie pozę.

Doświadczać musiałeś podobnéj niespodzianki Szanowny czytelniku, chociażbyś nawet na jasnéj mieszkał ulicy. Jeżeli tylko zaczniesz gonić myślą jakie piękne wspomnienie młodości, lub do złotéj uśmiechniesz się nadziei... raz, dwa, trzy, drewniana korba kilka razy się poruszy i monotonny dźwięk katarynki uszy ci rozedrze.

Wstaniesz wtedy, a raczéj zerwiesz się z krzesła i z obliczem na którém złości wielkiéj odbiją się znamiona, z pięściami srodze zaciśniętemi rzucisz się ku oknu.

Zrobiłem więc to samo...

Widok jaki oczy moje uderzył, najbardziéj rozdrażnione nerwy do równowagi przywołać był zdolny.

Zobaczyłem naprzód ciemną ulicę z jéj brukiem wzgórzystym, koszlawym jak powierzchnia pola, które pług tylko co porozdzierał, z chodnikami wygiętemi ku wnętrzu, poszczerbionemi w esy i floresy, i tradycyjnym powleczonemi kurzem. Na ulicy ciemno było jak zwykle, słońce za chmurami bladą twarz kryło, a ludzie snuli się tłumnie, dążąc w różne strony, sami nie wiedząc gdzie i po co. W załomie pomiędzy ścianami dwóch domów stał sobie spokojnie ów człowiek z maszyną grającą, co mi swobodnéj myśli szyk zakłóciła. Nie byłto jednak zwyczajny kataryniarz, dziecię szynku i ulicy, wesołe i pewne siebie, a nadewszystko wartość swego *talentu* ceniące. W człowieku tym, co drżąc od zimna poruszał dźwiękodawczą maszynę,— na pierwszy rzut oka uderzało tylko znękanie. Głowę miał ku ziemi spuszczoną, oczy przygasłe, poruszenia leniwe, przymuszone i niepewne. A przecież te nogi silnie jeszcze o ziemię oparte pierś wypukła i blaski dumy na szerokiem czole, zdradzały jakąś ruinę świetnéj może przeszłości. Katarynka była fałszywa,—rozklekotaną i jak świat starą;—tony jéj głuchły chwilami, ucisząły się, aby późniéj wybuchać powodzią piskliwych dysonansów.

Człowiek ten grał i po co?... Wiedział przecię, że jego stara towarzyszka swemi zakatarzonemi dźwiękami, do niczyjego nie przemówi serca. Poruszał jednak konwulsyjnie korbą nie patrząc na to co się koło niego działo, nie zważając ani na złowieszcze pomruki przechodniów, ani na hałaśliwe wrzaski nielitośnych uliczników.

Ulica wygwizdywała jego koncert po swojemu, gwarliwie, brutalnie, despotycznie, on przecię grał ciągle.

Była to z jego strony prośba o jałmużnę, a w tym piszczącym instrumencie, serce czuć umiejące, mogłoby pewnie odnaleźć rozpaczliwe łkanie, żałosny jęk nędzy, rozdzierający krzyk głodu.

Nikt atoli nie zatrzymał się przy tym biedaku z wyrazem litości na twarzy a z datkiem w dłoni, nikt nie zrozumiał téj bolesnéj skargi na los która tak fałszywym przemawiała językiem.

O! ciemna ulica lodowatemi zaludniona jest sercami!

Stało się, że w tym samym czasie przeciągnął tamtędy pajac, w szarym płaszczu z pod którego przeglądały trykoty. Wlókł za sobą wózek z przyrządami do sztuk gimnastycznych, bladą dziewczynę o czarnych jak węgiel oczach i chudego niemiłosiernie psa. Za nim biegli ludzie wesołą gromadką, uśmiechnięci pogodnie, rozciekawieni, nowych wrażeń żądni. Bębenek pajaca huczał,—dziesiątki gradem się sypały, a pies skowyczał i w ciemnych oczach dziewczęcia łzy ciche drżały.

Ciemna ulica bawiła się wesoło. I czy myślicie, że gdyby kto stanął nagle przed obliczem tego tłumu i powiedział do niego:

— Słuchajcie, tam człowiek umiera z głodu, a ochrypłe dźwięki katarynki to może jego *requiem* pogrzebowe. A tu znów stary wydrwigrosz z końca świata, jak wąż chytry a jak szakal dziki, znęca się nad dziecięciną skradzioną może nieszczęśliwym rodzicom, zabija w niéj młodość i życie, krew wycieńcza i duszę znikczem-

nia, dla tych marnych groszy które mu tak hojnie rzucacie!...

Tłum zadumałby się wtedy i nagle jakby pożar podmuchem wiatru rozniecany, zapłonęłyby w nim dwa wielkie uczucia: oburzenie przeciwko niegodnym, współczucie dla słabych, upadłych lub biednych.

Kiedy mi taka refleksya poświeciła w głowie, uczułem się nagle w duchu całkiem uspokojonym. Wesoło i pogodnie patrzyłem na ulicę, która mi się w téj chwili wydawała rozjaśnioną różowemi promieniami słońca przyszłości.

Rozumowanie tymczasem snuło daléj swój wątek i mimowolnie może obrało sobie drogę dedukcyjno-porównawczą.

Dla czegóż ty sam nie obrzuciłeś błotem bezmyślnéj wzgardy tego grajka i nie biłeś oklasków pajacowi spytało. Jesteś przecię jednostką z tych samych co i owa garstka uliczna złożoną żywiołów. Mieszkasz tuż przy nich, tém samém oddychasz powietrzem i tym samym chlebem się karmisz. Śmiejesz się, płaczesz tęsknisz i używasz darów życia jak oni. Jedna ziemia was urodziła i jedna wiecznym całunem pokryje...

— Jesteś lepszym od nich masz naturę szlachetniejszą i wyższą—zasyczała pycha.

— Nie wierz temu—rzekł chłodno rozsądek. Mówiłem ci to nieraz i chętnie powtarzam, że we wszystkich duszach ludzkich spoczywają jednakowe mniéj więcéj pierwiastki złego i dobrego, jedna namiętność, skłonność i popędy.— Kto umie porządnie tym całym zasobem gospodarować ten wygrał. Tyś lepszym gospodarzem bo cię tego nauczono, boś wykształceniem zaprawny potrafił więcéj szczegółów w życiu zaobserwować, więcéj do istoty rzeczy sięgnąć. Tamtych uderza przedewszystkiem jedna tylko strona, jedna cecha przedmiotu, ty umiesz ich więcéj dopatrzeć i zestawiwszy z sobą, odpowiednie wnioski wyciągnąć. Tamci rządzą się wyłącznie uczuciem tylko, które w pierwszym swym przejawie jest ślepem wrażeniem, instynktem naturalnym, czasami szlachetnym, częściéj egoistycznym, zawsze ułudnym. Ty przywołujesz rozum do pomocy i pod jego kierunkiem umiesz opanowywać pierwsze wrażenia, zmieniać ich kształt i naturę.

— A do tego jeszcze—szepnęła wyobraźnia przypomnij sobie, że byłeś sam w swoim pokoju, oddzielony od tego tłumu o całą wysokość dwóch piętr, że nie słyszałeś jego śmiechu, nie czułeś nad sobą panowania téj wrzawy ulicznéj, która tak często oszołomia i porywa. Odosobniony rozważałeś i sądziłeś, ale znalazłszy się pośród nich, możebyś tak samo uległ wrażeniu, ułudzie i szałom chwilowym.

—Gdyby w tym ogóle przeważała większość jednostek wykształconych dorzuciła myśl, jakżeby inném stało się wtedy powszechne oblicze życia.

Z tą ostatnią odezwą powróciłem do rzeczywistości i począłem zastanawiać się nad dzisiejszém społeczeństwem naszém. Oto jaki obraz oczom moim się przedstawił:

Wychowanie domowe skażone i niedołężne. Kobieta z kapłanki domowego ogniska w lalkę salonu zmieniona. Apatya i zwątpienie powoli do wszystkich warstw się wkrada, wytwarzając chorobliwe marzenia.

Ślady choroby trawiącéj społeczność odbiły się najsilniéj na młodzieży, na téj pięknéj młodzieży, która za moich czasów znała dwa tylko hasła: światło i miłość.

Czuła bowiem, że jedno bez drugiego istnieć nie może.

Ograniczę się tym razem na jednym ale wymownym przykładzie.

W sąsiedztwie mojem mieszkał student jeden w pracy gorączkowéj dnie i noce całe trawiący. Mało kto mógł go kiedy na ulicy zobaczyć a tylko blady płomyczek świecy łojowéj migocący w okienku poddasza, świadczył o jego istnieniu. Płomyk gasł powoli, a z nim razem gasło i życie wyczerpywane pracą nad siły i nędzą. Koledzy odwiedzali go często pożyczając książki i kursa, ale żadnemu nie przyszło na myśl spytać o powody smutku na czole biedaka i bladości ust zsiniałych. Dumna ta dusza, możeby umiała przemówić w obec bratniego współczucia, ale silniéj jeszcze zbroiła się przed obojętnością i lekceważeniem. Pewnego ranku—skonał!. serce boli wyznać — z głodu. Kiedy mi o tém opowiadał jeden z jego kolegów.—

— I pozwoliliście mu umrzeć bez pomocy?— zapytałem.

— Zginął w walce o byt odparł chłodno,— słabsi upadają, zwyciężają silniejsi. Takie prawo życia.

— Ależ kwintessencya takich praw to egoizm i rozpasanie—zawołałem.

— Egoizm jest właśnie jedyną rozumną zasadą—powiedział tonem doktoralnym. Jednostka nie ma obowiązku poświęcać cośkolwiek ze swych upodobań namiętności i potrzeb na korzyść drugich jednostek. Jeżeli ustępuje to tylko przed więzami praw społecznych dla zabezpieczenia tego co posiada kosztem tego co utraca.

— Cóż u licha ci ludzie mają pod żebrami— zapytałem siebie, po wysłuchaniu téj filozoficznéj tyrady.—Pytałem jednak daléj.

— A gdybyś sam się znalazł w podobném położeniu. Gdyby w najświetniejszych nadziejach przyszłości, zajrzało ci nagle widmo śmierci z głodu. Cóżbyś zrobił.

— Pracowałbym i walczył do ostatka.

— Przypuśćmy jednak, że praca nie dostarczyłaby ci środków utrzymania, żebyś zajęcia płatnego na razie nie znalazł, a nie miał pod ręką rodziców zamożnych lub bogatych krewnych?

Mój interlokutor myślał przez chwilę, potem rzekł:

— Zdaje się żebym się odwołał do pomocy życzliwych mi kolegów, albo przyjaciół.

— Jesteś więc niekonsekwentny kochanku.— Jakiém prawem, możesz wymagać od drugich tego, czego im sam z góry odmawiasz. Komu innemu wolno umierać z głodu i ty będziesz na to patrzał obojętnie,—ale kiedy o ciebie idzie, wtedy całe społeczeństwo powinno wyciągnąć dłoń pomocy i ofiary, bo ty—jesteś ty...

Zapłonił się i odszedł nic już nie replikując.

Kiedym następnie nad rozmaitemi objawami podobnych czynów i rozumowań myślał, doszedłem do przekonania, że większość złego w naszéj społeczności, płynie właśnie z braku zasad stałych, pracą własnego myślenia wyrobionych.

Ten i ów działa na ślepo egoizmem lub namiętnością kierowany. Wie doskonale, że popełnił rzecz zdrożną, że się z moralnością lub honorem rozszedł, więc wytęża mysl, chwyta pierwszą lepszą teoryjkę i naciągając ją dowoli, stara się własne postępowanie usprawiedliwić.

Winni tu bezwątpienia ludzie, winno wychowanie, winne twarde okoliczności życia, ale nie są bez winy i ci, co zbyt nadmiernym ferworem dla nowych idei zapaleni,—chcieliby od razu wszystko przeinaczyć, wszystko w życie wcielić i całemu bytowi społecznemu formę własną nadać.

Wyobrażenia rozmaicie się wyrabiają. Jedne powstają z faktów samych, inne z przeczytanéj książki lub gazety. Większość ich niestety jest błędną, dla téj właśnie przyczyny, którą na początku mego listu wskazałem.

Ogół nawet czytający i myślący nie jest w stai nie zrozumieć całéj prawdy ani danego faktu, audanéj teoryi. Pochwyci z nich tylko to, co mu się odpowiednio do nastroju chwili i najwygodniejszém lub najlepszém okaże. Jeżeli idzie drogą postępu i doskonalenia się, jeżeli rozwój jego odbywa się normalnie. wtedy summa wyciąganych z obserwacyi życiowéj i z piśmiennictwa wniosków korzystną się dłań okaże. Zrównoważą się złe i dobre wpływy, a dla postępu zawsze coś zostanie.

Inaczéj się rzecz ma, jeżeli ten ogół skutkiem rozmaitych przyczyn, w zupełnéj prawie umysłowéj znajduje się stagnacyi. Wtedy staje się on podobnym do roli, na którą długie lata jedno i toż samo rzucano ziarno. Grunt taki będzie jałowym i nieurodzajnym, na którym bezużyteczne zielska bujnie się rozrosną. Aby siły żywotne w nim przywrócić, potrzeba wyjątkowéj pieczołowitości i pracy;—wypleniać od korzenia chwasty i kąkole, strzedz nawet wiatru co złe nasiona przynieść może, a nadewszystko pamiętać, że i zdrowy powiew na téj niwie do pewnego czasu zielsko zrodzić może.

Zadanie dzisiejszego naszego piśmiennictwa jest wielkie i stanowcze, ma ono wychowanie na gruntownych, z postępem zgodnych zasadach odrodzić, przesądy obalić, kobiecie drogi do niezależności, myśli i pracy otworzyć, ludzi intelligencyi pod sztandarem światłéj opinii skojarzyć i rozumnie z duchem nowych pojęć pogodzić. Aby to zadanie spełnić, potrzeba dwóch rzeczy: najprzód miłości dla społeczeństwa, potem znajomości potrzeb jego i celów.

Gdy idzie o dokładną znajomość społeczności, każdy, kto badać i spostrzegać umie, powinien dzielić się z ógółem rezultatami swego poznania.—To spowodowało mnie do pisania listów z Ciemnéj ulicy. Żyjąc na niéj widzę jak zwolna kiełkują i rozrastają się wyobrażenia fałszywe o prawach i obowiązkach życia, jak błędne zasady rodzą niedołężne czyny, jak często marnują się siły zdolne i zdrowe. W ulicy Ciemnéj skupiły się wszystkie żywioły składające społeczność naszą: rolnik, przemysłowiec, kupiec, rzemieślnik, kapitalista, bankier i wyrobnik. W każdéj z tych klass wyróżnia się życie rodzinne i towarzyskie, umysłowe i moralne. Zadaniem moich listów będzie więcéj odtwarzać niż sądzić, więcéj ukazywać stosunek zboczeń do rzeczywistych potrzeb, aniżeli dysharmonii jego zaradzać.

GÓRY W POBLIŻU MIASTA

HISTERFIORDU W NORWEGII.

W górzystych stronach Norwegji znajdują się miejscowości, zupełnie nieprzystępne, tak dalece: że najodważniejszy turysta przekonawszy się naocznie o niepodobieństwie dostania się na ich wierzchołki, gotów zaniechać zamierzonéj pierwotnie podróży. Do takich należą góry w pobliżu miasta Histerfiordu, pełne rozlicznych strumieni, wodospadów i skał urwistych. Obfitość jednakże licznego zwierza jaki zwykł w tych miejscowościach przebywać. była podnietą do wyszukania środków, celem bliższego zwiedzenia tych okolic. Koń miejscowy okazał się w tym względzie najwłaściwszym przewodnikiem, przebywając wpław wraz z swym jeźdcem nie tylko bystre potoki i strumienie, ale drapiąc się z nim po urwiskach skał niebotycznych. Niedostępne zaś zupełnie miejsca przechodzi po wątłych kładkach, lub ustawionych szczeblach w kształcie drabiny, po których z szczególną zręcznością przechodzi niosąc na sobie jeźdca, nie tylko do góry ale i na dół. Ryciny na str. 859 i 862 przedstawiają owe podróże.

WRAŻENIA
Z WYSTAWY SZTUK PIĘKNYCH.

III.

Szare półświatło, ów blask mętny, który się ze słońca jesiennego dobywa, wrogiem jest obrazów i *wrażeń* przez nie wywołanych. Jedne i drugie pokrywają się pod jego wpływem melancholią, jak mniszka czarnym welonem. Jedne i drugie gubią tęczowe pióra poezyi i tracą ogniste wielkości znamiona. Pod brzemieniem smutku gasną i szarzeją nie mogąc mimo wysiłku stanąć w glory i majestacie...

Obrazom potrzeba słońca na równi z kwiatami. Są bowiem jak i kwiaty ideałem zamkniętym w linie i kolory. Są kształtami ludzkiéj myśli tak jak i kwiaty bożéj. Jako w różach, kryje się w nich często woń narkotyczna sprawiająca dreszcz miłosny niby serajowe kadzidło. Jako tulipanom, brak im niekiedy tego, co jest duszą kwiatów, a zapachem obrazów—poezyi. Jako mimozy, stulają się lękliwie, kryjąc piękność swą subtelną, ile razy je dotknie szorstka dłoń krytyka...

Obrazy i kwiaty to dzieci matki jednéj.

Kolor to sukienka jednych i drugich. A kolor *nie istnieje* bez światła.

Im światło żywsze, tém kolor mocniejszy— i *vice versa*. Tycyan nawet oglądany w ponurém świetle jesieni, pochmurno wygląda.

Po szczeblach takiego *decrescendo* schodzą i wrażenia. Świetność ich przytłumia się, zaciera i — gaśnie. Jedwabnego ich połysku bez światła dojrzeć nie można; a ten subtelny, z motylich skrzydeł pożyczony pyłek, jakim skrzą się ułudnie, znika za lada ostrzejszym podmuchem...

To napisałem gwoli twojéj nauce, o czytelniku. Jeżeli bowiem barwy dzisiejszéj pogadanki mniéj żywe, a jéj zachwyt więcéj wyda ci się umiarkowany—wiedz, że to tylko jesiennéj niepogody wina.

Listopadowe słońce oprowadzało twego sługę po salonie wystawy—jako posępny *cicerone*, którego smutek rzuca cień na oglądane przedmioty...

Bądź zatém wyrozumiały, a i pobłażliwy nieco.

* * *

Kilka słów wstępu należy się obrazowi uderzającemu zdala swą oryginalnością, a noszącemu tytuł: *Wieczór romantyczny*.

Autor jego p. Mirecki znany nam jest, jako zwolennik krańcowego idealizmu. Dotychczasowe jego kompozycye, wyznać trzeba, grzeszyły brakiem precyzyi i.... niedokrewnością. Rozpływały się one w mgłach sentymentalizmu i posiadały zbyt mało skupienia. Czytało się w nich tę prawdę, że fantazya pajęczemi nićmi osnuwa myśl artysty i nie pozwala mu nad sobą zapanować. Jestto epoka zwykła w rozwoju twórczości artystycznéj. Trwa ona krócéj lub dłużéj— zawsze jednak na korzyść wychodzi, gdy jest tylko *przejściową*. Zdarza się jednak że to, co winno być tylko przejściem, staje się wadą chroniczną, i artysta zostaje po za wrotami świątyni sztuki, do któréj tylko *zdrowi* wchodzić mają przywiléj.

O pana M. byliśmy już w obawie... tymczasem ostatni jego obraz przyjemną sprawił nam niespodziankę. Kazał bowiem jak najsilniéj uwierzyć w to, że myśl twórcza poety-malarza do zupełnéj doszła dojrzałości.

W obrazie tym jest dużo fantazyi—skrzydlate jednak bóztwo, posłuszne zaklęciu artysty, nie ulata w nieskończoność, ale stopą realnéj dotyka ziemi. Jest w nim myśl poetyczna, swobodna.... Jest idealizm w pomyśle i wykonaniu. Jest fantasmagorya myśli artystycznéj ucieleśniona widomie. Jest ruch i polot wyobraźni zamkniętéj w formy plastyczne.

Obraz mimo to, jest dla wielu: zagadką. Odczytują po razy kilka napis, i kręcą głowami. „Wieczór romantyczny!"—co u Boga? Gdybyż tylko *wieczór*, pojąćby można snadno— ale „romantyczny!..."

Niestety! ten ostatni przymiotnik coraz mniéj staje się dla nas zrozumiały. To, co do głębi wzruszało serca i umysły naszych ojców i dziadów, dla nas, dzieci kończącego się stulecia, jest rzeczą obcą i zgoła obojętną. Nikt pod karą ośmieszenia nie będzie dziś walczył w imię wolności sztuki, każdy owszem pomoże w nakładaniu na nią łańcuszków, które się nazywają kłamliwie „tendencyą społeczną." To należy do mody...

Zapomniano znaczenia wyrazu, bo przestano już pojmować rzecz samą.

Otóż tym którzy pomysł pana Mireckiego nazywają „rebusem malarskim," winniśmy przypomnieć kilka prawd z niedalekiéj przeszłości.

Czém był *romantyzm* w najwszechstronniejszém znaczeniu? Emancypacyą sztuki. On to rozwiązał pęta lot jéj tamujące, on rozszerzył jéj horyzont aż do nieskończoności, on wreszcie dał jéj w posiadanie ziemię, niebiosa i piekło, i wyrzekł „leć!" za kierunek lotu wskazując jak orłom: promienną twarz słońca. Wówczas w poezyi wystąpił Manfred rozmawiający z gromadą czystych i nieczystych duchów. Wówczas Faust począł się kusić o rozwiązanie sfinksowéj zagadki życia i grobu. Beethoven budował z dźwięków zaczarowane pałace i kazał po nich błądzić cieniom kochanków, albo furyom rozpaczy. Delacroix malował *Łódź Danta*... Wówczas także pojawiły się poetyczne *kaprysy*, które w zachwycającym nieładzie jednoczyły wszelkie kształty piękna z rożnych sfer pożyczone. W owych kaprysach formy i myśli spotykałeś: najbrutalniejsze kształty ziemi i najbielsze widma



NA GORĄCYM UCZYNKU. Układ i rysunek Piotrowskiego.

aniołów; próbki wszelkich filozofij od ateizmu począwszy, aż do wiary Ś. Franciszka, śmiech Falstaffowski i zgrzytanie potępieńców Dantejskich; ułamki najprzeróżniejszych stylów i porządków architektonicznych, słowem: *universum* w chaosie.

Do téj sfery należały takie fantazye kłócące sen wieczny Laharpe'a, jak *Beniowski* Słowackiego, *Atta-Troll* Henryka Heine, *Mardoche* Musseta i i inne.

Do téj a przynajmniéj do pokrewnéj sfery należy też p. Mireckiego *Wieczór romantyczny.*

Opiszę wam go jak będę umiał.

Gotycka, o wysokiem podniebiu, sala. Światło kilku lamp i wzierającego księżyca zaledwie małą jéj część rozjaśnia. W załomach sklepienia mrok wieczny. Na ścianach zakurzone obrazy i trofea myśliwskie. Stół —na stole puhary, dokoła kilka krzeseł wielkich, rzeźbionych, złoconą skórą pokrytych. Młody *minnesenger* czyta z książki w pargamin oprawnéj.... gromadka młodzieży i starców słucha go z natężeniem. Może z ust jego płyną harmonijne strofy Aryosta, może wyobraźnia słuchaczów podąża za Orlandem towarzysząc jego miłosnym i rycerskim przygodom.... Młodzieniec równy wiekiem czytającemu przypadł do niego i iskrzącemi od zapału oczami zagląda w książkę. Kobieta, jakiéj dziś naprożnobyś szukał i w salonie pańskim i w rzemieślniczéj izbie, słucha melodyjnego szmeru *oktawek* wprawiających ją w słodkie rozmarzenie. O poręcz jéj krzesła wsparł się krzepki starzec z licem marsowém po którém przebiegają ognie błyskawiczne. W głębi kilka ciemnych postaci kielichem się zabawia.

To dzieje się w sali. Na kamiennym zaś balkonie, który odsłania podniesiona do połowy wielka adamaszkowa firanka, widać jakby illustracyę *książkowéj* poezyi. Dwoje kochanków pochyla się ku sobie miłośnie. On z gitary namiętne dobywa dźwięki, ona wtórzy mu szeptem rozkochanym. Tę parę widać tylko w sylwetce co idealizując formy daje jéj lekkość i fantastyczność wizyi. Na horyzoncie pokrytym ciężkiemi, popielatéj barwy chmurami, pali się krwawo wschodzący księżyc. W powietrzu *musi* być parno i wonno; narkotyczne wyziewy jaśminu mieszają się tam z lubieżnym zapachem róż i narcyzów....

Darujcie, żem nieco dłużéj nad tą kompozycyą się zatrzymał. Nie wypadkiem to zrobiłem... Zamiarem moim było: myśli nasze zbyt trzeźwe, serca nasze więdnące w atmosferze węglowego i karbolowego kwasu, odświeżyć *wrażeniem* wiosennéj woni pełnym. Byłem jak człowiek który w późnéj już jesieni, gdy kwiaty wszystkie poschną i pomarzną, znalazł w jakiejś ustroni leśnéj cudem ocalone dziecię Flory;—nie cieszy się samolubnie, ale co tchu niesie ukochanym swoim, bo wie, że równie jak on, spragnieni są widoku kwiecia, które im serce nadzieją wiosny ucieszy...

Idę dalej.

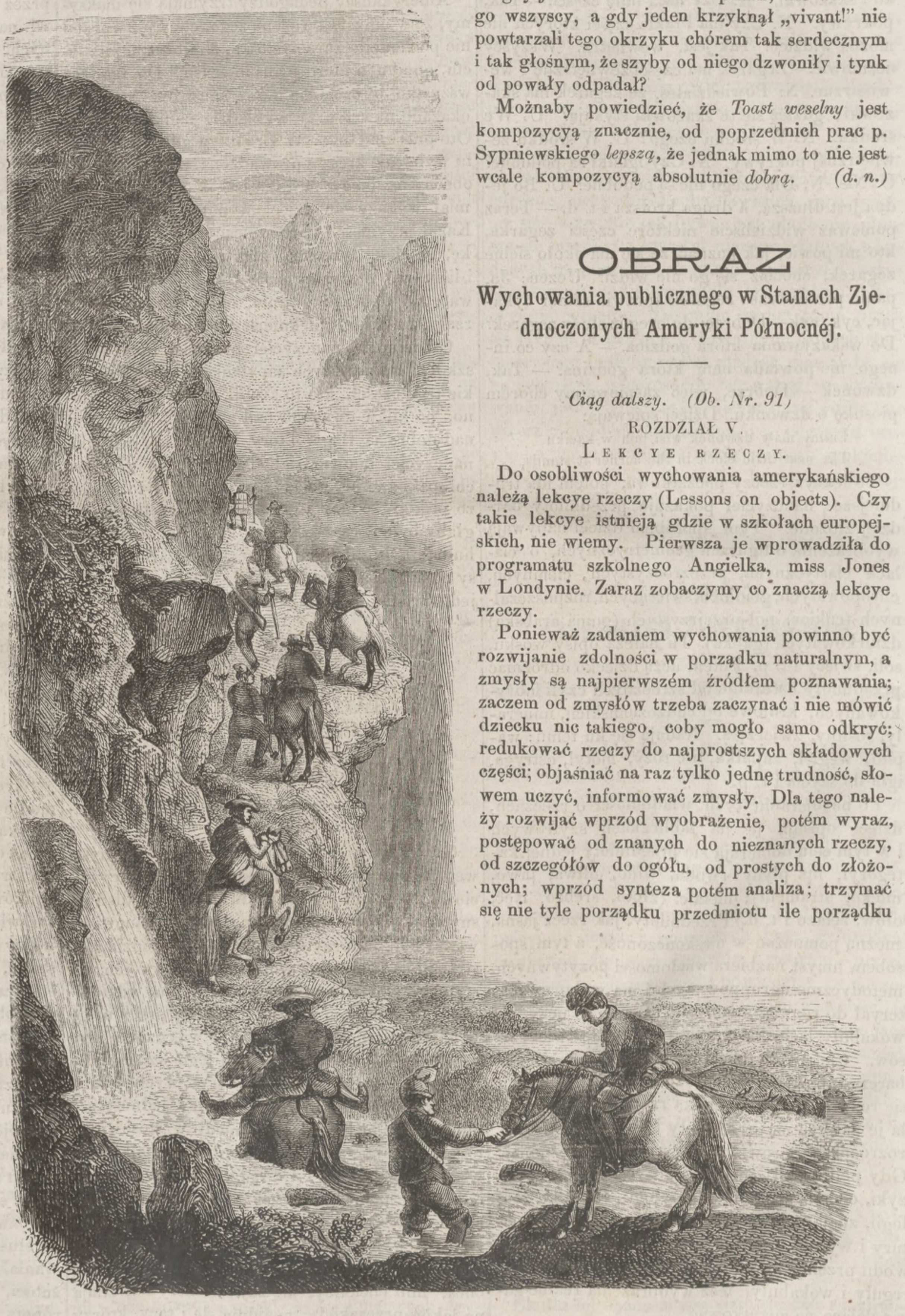
Na kilkołokciowém płótnie wymalował p. Sypniewski „Obrazek z przeszłości” którego treścią *Toast weselny.* „Obrazek” ten z pozoru wydaje się być wcale poważną kompozycyą. Figur na nim przeszło dwadzieścia, stroje staropolskie, więc mniéj lub więcéj malownicze; przedmiot nie powszedni gdyż przedstawiający jedną z najuroczystszych chwil życia... W wykonaniu znać pracę; znać także usiłowanie wydobycia z barw i draperyi jak największéj „poezyi kształtów...” Zdawałoby się, że obraz posiada wszystko, czego od poważnéj kompozycyi domagać się można. A przecie, mimo pewnych zalet w szczegółach.... całość po nad skalę powszedności nie wychodzi.

Rozpatrzę wspólnie z wami ten obraz.

Figur na nim, jak już wspomniałem, przeszło dwadzieścia. Wszystkie one zebrane w okrąg niedużego stołu, którego całą zastawą jest ciasto i kilka naczyń szklanych do wina. W tłumie tym oko widza szuka przedewszystkiem nowożeńców. Nie zajmują oni wybitnego miejsca. „Panna młoda” bowiem jest nią jedynie przez suknię białą i welon: twarz na któréj tyle różnych uczuć grać powinno, niewiele wyraża. Pan młody niewiadomo czy z zakłopotania czy z junakieryi—wąsa pokręca. Inni biesiadnicy w nieładzie dalekim od malowniczości, podzieleni na małe grupy, częścią stoją, częścią siedzą, i zdają się najmniejszéj uwagi nie zwracać na *Polonu sa*, który wziąwszy ze stołu czarkę z winem, nią zdrowie nowozaślubionych wznosi. Dwóch lub trzech może ten jego giest naśladują — inni nie patrzą nawet w tę stronę, gwarząc między sobą o rzeczach obojętnych.

Czyż to tak za owych czasów bywało? Azaliż gdy jeden z nich wzniósł puhar, nie wznosili go wszyscy, a gdy jeden krzyknął „vivant!” nie powtarzali tego okrzyku chórem tak serdecznym i tak głośnym, że szyby od niego dzwoniły i tynk od powały odpadał?

Możnaby powiedzieć, że *Toast weselny* jest kompozycyą znacznie, od poprzednich prac p. Sypniewskiego *lepszą*, że jednak mimo to nie jest wcale kompozycyą absolutnie *dobrą*. *(d. n.)*



Podróż w górach w Norwegii

OBRAZ

Wychowania publicznego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnéj.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 91)

ROZDZIAŁ V.

LEKCYE RZECZY.

Do osobliwości wychowania amerykańskiego należą lekcye rzeczy (Lessons on objects). Czy takie lekcye istnieją gdzie w szkołach europejskich, nie wiemy. Pierwsza je wprowadziła do programatu szkolnego Angielka, miss Jones w Londynie. Zaraz zobaczymy co znaczą lekcye rzeczy.

Ponieważ zadaniem wychowania powinno być rozwijanie zdolności w porządku naturalnym, a zmysły są najpierwszém źródłem poznawania; zaczem od zmysłów trzeba zaczynać i nie mówić dziecku nic takiego, coby mogło samo odkryć; redukować rzeczy do najprostszych składowych części; objaśniać na raz tylko jednę trudność, słowem uczyć, informować zmysły. Dla tego należy rozwijać wprzód wyobrażenie, potém wyraz, postępować od znanych do nieznanych rzeczy, od szczegółów do ogółu, od prostych do złożonych; wprzód synteza potém analiza; trzymać się nie tyle porządku przedmiotu ile porządku

naturalnego. Amerykanie bardzo wysoko cenią sobie lekcye rzeczy i uważają je za skuteczniejszą gimnastykę umysłu niż języki, tak znów cenione w Europie dla tej niby korzyści że gimnastykują umysł przypadkami i osobami, czasami i trybami.

Lekcye rzeczy spotykamy nietylko w początkowych szkołach, lecz i w gramatycznych i wyższych, tylko naturalnie już one tam są trudniejsze. Ale oto przykład takiej lekcyi w szkole początkowej w Bostonie dla dzieci od 8 do 9 lat.

Nauczyciel położył zegarek na stole i tak po kolei zapytywał wyzwanego malca: Nauczyciel: Co to za przedmiot? Uczeń: Zegarek. N. Teraz obejrzyj go i powiedz mi jak się nazywają niektóre jego części? U. Szkiełko—A inne?—Skazówki.—Wszyscy uczniowie: Zegarek ma szkiełko i skazówki. N. Czy ma i inne części?—Tak, pokrywy. N. Czy ma i takie części których nie można widzieć? Tak jest, wewnątrz. Wszyscy uczniowie:—Zegarek ma części zewnętrzne i wewnętrzne. N. Powiedziałeś, że zegarek ma skazówki; gdzież się te skazówki stykają? U. We środku. N. W środku czego? U. W środku zewnętrznej pokrywy. N. Czy igiełki są podobne? U. Nie. N. Dla czego nie są podobne? U. Bo jedna jest dłuższa, a druga krótsza i t. d. — Teraz ponieważ widzieliście niektóre części zegarka, kto mi powie, jak poznać, że się ma około siebie zegarek, chociaż się go nie widzi? Uczeń: Ja, panie professorze; zegarek sprawia szmer cykając, cyk, cyk—Dobrze; do czegóż służy zegarek? Do wskazywania która godzina.— A czy co innego nie powiada nam która godzina? — Tak, dzwonek — Dobrze, więc zaśpiewajmy chórem piosnkę o dzwonku. Dzieci śpiewają:

Cudny mały dzwonek wisi tam w kąciku
The neat little clock in the corner it stands,

To lekcya rzeczy początkowa; potém idą trudniejsze: nauczyciel pokazuje przedmioty bardziej złożone. Tym sposobem dzieci nabywają wyobrażenia o figurach geometrycznych, o ciałach elastycznych, przezroczystych, ciemnych, chropowatych, gładkich, świecących, rozpuszczalnych (cukier) pół-przejrzystych (guma arabska) dziurkowatych (gąbka). Tu należą opisy wosku, soli, świecy i t. p. Potém uczą dziecko odróżniać przedmioty naturalne od sztucznych czyli fabrykowanych, krajowe od cudzoziemskich, minerały, rośliny, zwierzęta. Nadają się ku temu: wapno, węgiel, zapałka, liść róży, motyl, ostryga, igła do szycia i t. p.

Po nazbieraniu tych wiadomości o rzeczach, dzieci opisują je na tabliczkach szyfrowych i w tym celu dobierają się przedmioty jednej kategoryi, np. płyny: (woda, wino, oliwa, piwo, mleko, atrament); metale: (złoto, srebro, rtęć, ołów, żelazo i t. d.) Przedmioty, jak rzecz jasna, można pomnażać w nieskończoność, a tym sposobem umysł nazbiera wiadomości pozytywnych, metodycznie ugruppowanych i ma wyborny materyał do rozwagi, namysłu. Lepiej to uczy, niż wokabuły łacińskie i reguły o następstwie czasów. Ciekawość dzieci wzrasta, umysł się nieobarcza tułackiemi wyobrażeniami, zdolności się się rozwijają szybko, nauka rzeczy przyzwyczaiła je patrzyć na przedmioty i dobrze je widzieć, rozróżniać, porównywać i rozumować o nich. Gdy podrosną i zaczną się uczyć już na seryo fizyki, chemii, geologii, mineralogii, botaniki, zoologii, znają połowę przedmiotu, znają płody natury i wyroby ręki ludzkiej. Do przyszłego zawodu przemysłowego, handlowego przyniosą nie reguły i wokabuły, lecz wyobrażenia realne zaraz dające się zużytkować.

Możnaby tej metodzie zarzucić, że przedewszystkiem kształci rozsądek a zaniedbuje wyobraźnię. I tak bywa w istocie, sztuki piękne w Ameryce nie kwitną; ale też Amerykanie najwięcej cenią rozsądek i pożytek. Połączenie ich metody uczenia z naszą, gdzie znów pamięć i wyobraźnia górują, byłoby bardzo pożądaném. Przedewszystkiém zaś pragnęlibyśmy, żeby sprobowano zaprowadzić tam gdzie można, lekcye rzeczy. Nowość taka wypróbowana na krociach dzieci gdzieindziej, niezawodnie wydałaby dobre owoce. Nie mamy podręcznych książek ku temu, a rzadko nauczyciel zdołałby sam ułożyć takie lekcye. Dla tego czyjąby uwagę zwrócił niniejszy artykuł, podajemy tytuł zastósowanej do tego celu i używanej najpowszechniej w Ameryce książki: *Lessons on Objects*, by E. B. Sheldon, New-York, 1868.

Amerykańscy pedagodzy trzymają się maksymy, że w umyśle nie ma niczego, coby już wprzód nie pochodziło ze zmysłów: „Nihil est in intellectu, quod non fuerit priûs in sensu." Dla tego też wszystko o czém się mówi musi być zmysłom okazane nawet przy wykładzie nauki moralnej. Oto przykład tego: W Brooklyn gdzie jest szkoła wybornie zresztą prowadzona, p. Hippeau był obecny na lekcyi moralności, kiedy nauczyciel miał wykazywać dzieciom potrzebę porządku. Kazał przynieść i porozrzucać na stole: szklankę, spodek, łyżeczkę, szczypce, świecę, tackę i lichtarz. Wezwany malec miał to uporządkować; po uporządkowaniu, oczy wszystkich ujrzały, że ład jest piękniejszy niż bezład.

Gdzieindziej nauczyciel przynosi gniazdo do szkoły. Po zwykłych zapytaniach, co to jest, jakie tego części, kto to zrobił, gdzie je znaleziono, po kilku uwagach nad zmyślnością ptaków, nad dobrocią Boga, który im dał taki instynkt, nauczyciel opowiedział dzieciom, że złośliwe chłopaki zabrały gniazdo, w którém było pięcioro piskląt, że matka gorzko się skarżyła, że mogłaby była skruszyć nawet kamienne serca, ale hultaje byli głuchymi. Potém zapytał całej klasy co sądzi o niegodziwcach. Odpowiedź była jednomyślna, potępiająca. Skutek osiągnięto.

(d. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Ciąg dalszy. (*Ob. Nr. 91.*)

Gawędy matki przez Anastazyę *Dzieduszycka*. Lwów 1872.

Gdy młody wychowaniec przejęty tą myślą wejdzie z czasem o własnej mocy na obszary życiowe, horyzont jego zawodu będzie już dlań jasnym. Należyte pojmowanie swego stanowiska wśród ludzi, którzy dotąd karmili go, odziewali, strzegli za pomocą przemysłu, ustaw swoich, instytucyj, podziału pracy obudzi w nim wdzięczność i ulży trudom podjętym później przez niego w imię powinności niezbędnej, stwierdzonej jego sądem i odczutej w sercu. Od tego wzoru dalekim jest przecież dzisiejszy tryb wychowania. Węzły naturalne, logiczne między jednostką a ogółem nie będąc wzmacnianemi w stosownym czasie, rozprzęgają się pod wpływem najkłamliwszych wyobrażeń. Ci radziby przez lenistwo odkładać spełnienie swych obowiązków do nieskończoności, tamci twierdzą, że skoro raz spóźnili się, wynagrodzić już zwłoki nie mogą, jedni niewiedzą jak mają pracować, a nauczyć się nie chcą, inni chcieliby, ale zawsze niby natrafiają na jakieś przeszkody; znajdują się i tacy, którzy wątpią nawet czy do czegokolwiekbądź względem kogokolwiek są obowiązani, tym i owym przychodzi na zawołanie wykręt ozdobiony blichtrem domorosłej dyalektyki lub strzępami pseudo-naukowych systematów, a sojusz rodzinny i obywatelski podkopany nieładem zdań, chwiejnością przekonań, nie wyrobioną lub złą wolą słabnie w tych zatargach, zmieniając się w nieskończony labirynt starych i nowych błędów.

Solidarność wytrwała czynników społecznego związku bez względu na ich wiek, płeć, stan i otaczające okoliczności—oto hasło rzetelnej pedagogiki. Urzeczywistnić je mogą przedewszystkiem rodzice lub zgodnie z nimi zapatrujący się na powołanie człowieka nauczyciele. Tych ostatnich radzi autorka wybierać z wielką oględnością, tak, żeby czujność obca dawała wzrost żywiołom moralnym w myśl zasad wyznawanych przez rodziców, którzy powierzając dzieci sterowi nauczycielowi, szukać mają nietylko zręcznych, lecz i duchowo upodobnionych sobie zastępców. Inaczej umysł młodzieńczy targany w różne strony, przesiąkły dostarczanémi na wyścigi antydotami panujących uprzedzeń uwikła się w sprzecznościach, lub zwątpiwszy całkiem o prawdzie, pójdzie tylko za prądem własnych, nieokiełznanych namiętności.

Z tego powodu autorka nie lekceważąc bynajmniej korzyści wychowania publicznego przyznaje jednak pierwszeństwo domowej edukacyi, dającej matce (lub ojcu, chociaż idzie tu najwięcej o dozór macierzyński) możność przeświadczania się o ile wpływy mistrzów działają zbawiennie na usposobienie ucznia. Dozór ten nie kończy się nawet wtedy gdy syn słucha wykładów uniwersyteckich za granicą. Rodzice jeśli posiadają stósowne fundusze i tam powinni mu towarzyszyć już to w celu ochronienia go od pokus na jakie zwykle w tym wieku i pozostawiony własnej odpowiedzialności młody człowiek bywa narażonym, już dla prostowania jego poglądów gdyby takowe zwichnęły się na przestrzeniach wyższej, ginącej w domysłach nauki, godnej zaiste zgłębiania, lecz wymagającej także ostrożności w przyjmowaniu wyników, które adeptom swoim wskazuje.

Jednocześnie troskliwa matka zaczyna wstępować w rolę przyjaciółki, ba, powierniczki nawet swego dziecięcia. Dotąd czynnie wpływała na jego przyszłość, odtąd poprzestanie na udziale biernym, na głosie doradczym. Posłannictwo jéj nieco łatwiejsze teraz—lecz trwa aż do zgonu.

Skreśliwszy w przytoczonych zarysach żądaną mödlę kierownictwa młodzieży p. Dzieduszycka dotyka nawiasowo grzechów praktykującego się u nas obecnie wychowania. Widzi ona roszczenia stronnictw wciągane gwałtem na szczyt pewników, kastowe niesnaski uchodzące za obronę sprawiedliwości, pozorny dowcip chętnie krzewiony i przyjmowany za szczery kruszec rozsądku, którego jest tylko znikomym szychem; spostrzega że zaniedbując kształcić rozum, uczucie i obyczaje młodego pokolenia, opiekunowie jego starają się utrzymywać wychowańców jak najdłużej w niewiadomości rzeczy uważanych za niebezpieczne, z któremi atoli młodzież pomimo zakazu zapoznaje się sama, z książek czytanych pokryjomu, z usłyszanych przypadkiem rozmów i tłumaczy je sobie fałszywie, a sformowawszy potém samodzielnie niedorzeczne opinie, ukrywa się ze skutkami spożytej trucizny przed starszymi w obawie kary za łakomstwo. Pani Dzieduszycka słusznie oskarża prohibicyjny sposób wychowania, będący z powodu źle zrozumianej ostrożności, największą w istocie nieostrożnością. Nad robotą wywołaną sztucznem stawieniem zawad pragnieniu wiedzy i odbywającą się tajemnie

w duszy młodzieńca, w jego pojęciach i w charakterze, a stanowiącą może o całéj jego przyszłości — nikt już czuwać nie może. Żeby tę robotę ułatwiać i prostować w niéj zboczenia, trzeba ją znać wprzódy, owładnąć ujściami, które przysparzają jéj materyału, i materyału owego nie zamykać, nie oddalać, bo tamowany z jednéj strony wsączy się on skrycie z drugiéj, lecz oczyszczać go i przerabiać na pokarm zdrowy i krzepiący...

Snadniéj wszakże to poradzić niż wykonać, zwłaszcza trzymając się wskazówek podanych przez autorkę.

„Wprawdzie i córki niezbyt trafnie wychowujemy, mówi pani Dzieduszycka, ale o wychowaniu synów zgoła nie myślimy w błogiém przeświadczeniu że jakoś dadzą sobie radę, że pójdą do szkoły i wyjdą na ludzi”...

W spostrzeżeniu tém autorki wiele jest smutnéj prawdy i to tém smutniejszéj że jak wyraża się dalej pani Dzieduszycka „dawno ludzkość nieprzeżyła dziejowéj chwili któraby tak jak obecna powinna zwrocić jéj uwagę na wychowanie młodych pokoleń”. Autorka ma tu na myśli ostatnią wojnę Francyi z Prusami i przestrogę którą z klęsk pierwszéj każde społeczeństwo zaczerpnąć by dla siebie powinno. Jakkolwiek niepodobna zaprzeczyć ważności szczegółowego faktu, pojmować jednak należy doniosłośc społczesnéj doby względnie do zadań wychowania w szerszém znaczeniu. Znaczenia tego, czas w którym żyjemy nie nabył szczególnie w skutek wojny francuzko-pruskiéj, ale je posiadał już i przedtém, wszelkie zaś pojedyncze zwroty a w téj liczbie i polityczne katastrofy były zawsze i są objawami tylko ruchu który ogarnąwszy niepostrzeżenie prywatnego życia zakresy, dopiero potém wznosi to zniża silném dźwignięciem niejednostajne poziomy obyczajów, stosunków rodzinnych i towarzyskich, wyobrażeń naukowych i moralnych w dojrzalszych w oświatę krajach. Ruch ten musi pociągać zatém i pociąga rzeczywiście dwa następstwa: złe następstwo i dobre— prowadzi do przykrych niepewności do chwilowych zwątpień—ale też i do poznawania tego co jest dla człowieka bardziéj użyteczném, zacniejszém, prawdziwszém. Z chaosu który przemija wyłania się świat coraz potężniejszéj myśli ludzkiéj który począł się i doskonali swe kształty pod tchnieniem wiekuistéj prawdy, pod strażą cnoty upowszechniającéj się pomału lecz bez przerwy w miarę zmniejszania się złudzeń— o czém świadczy ta mianowicie powaga do któréj odwołuje się autorka: powaga historyi. W gmatwaninie przejściowéj gdzie po rozjaśnionym błędzie nie zaraz następuje zrozumienie prawidła, po jednéj poznanéj prawdzie usuwającéj fałsz, nieidzie w ślad druga darząca znajomością przyszłego kierunku, w téj gmatwaninie, mówimy w tych momentach kłopotliwego przednówka cywilizacyi, ciężko stawić kroki jednostkom. Nigdy może dla nich nie był trudniejszym obowiązek sumienia, nigdy bliższém niebezpieczeństwo, nigdy łatwiejszą omyłka. Wiek dziewiętnasty obfituje w takie krytyczne chwile. I dla tego grzeszy nierozważnie ojciec lub matka, gdy mówią o dzieciach swoich że *jakoś* dadzą sobie radę, pójdą do szkoły, pójdą w świat, wyjdą na ludzi. I tu i tam i owdzie, w szkole i w świecie, nad księgą, przy roli, na urzędach i w ciszy domowego ogniska czeka ich ten sam mozół, te same szkopuły, podobne obłędy i podobne zawady. Okoliczności mogą zdarzyć się różne, próby dla jednych lżéjsze, dla drugich bardziéj ciężkie do zniesienia, lecz charakter ducha czasu, lecz źródło trudności życia niezmienią dla nikogo swéj istoty.

Sprawa wychowania jest więc niezmiernie ważną, a obok tego niepospolicie w naszych czasach skomplikowaną, jakoż jeśli „niezbyt trafnie” wychowujemy dzieci przez niedbalstwo to częściéj jeszcze choćbyśmy chcieli, nieumielibyśmy podołać warunkom wzorowego mistrzowania. Pani Dzieduszycka składa rządy wychowawcze w ręce rodziców lub przynajmniéj życzy wszędzie widzieś ich kontrolę, jakby dawcom żywota wrodzonym już był przymiot nieomylności. Czy złe jednak zostanie przez to wygnaném? Próżna nadzieja. Sprzeciwiają się temu tak dotykalne przeszkody że trzeba dziwić się jakim sposobem autorka dawszy tyle dowodów trzeźwości sądu przenikającego do głębi zagadnień życiowych oparła tym razem budowę przetworzenia się społecznego na kurzéj nóżce, któréj wątłość sama dobrze ocenia. P. Dzieduszycka nieschlebia bowiem jak wspomnieliśmy, miłości własnéj narodu, owszem karci surowo jego nieroztropną butę, zbytnią uczciwość, zawziętość między stanami, niechęci stronnictw, skrajność antogonizmów towarzyskich, religijnych i naukowych, a co już staje w wyraźnéj sprzeczności z jéj pedagogicznemi wnioskami—napada ona na nieudolność i obojętność okazywaną powszechnie w tak palącéj kwestyi jaką jest wychowanie młodzieży.

Otoż, wszystkie te zarzuty, którym rzeczywistości odmawiać nie będziemy wiodą do następnego wyniku:

Pierwotne domowe wychowanie młodzieży dla tego jest u nas tak skrzywioném że zbywa mu na przewodnikach umiejętnych i oddanych szczerze swemu powołaniu.

Ztąd wywiązuje się niepewność gdzie szukać i komu poruczyć wypada odrodzenie moralne owéj tradycyjnie przesądnéj a zbałamuconéj nowoczesnemi naleciałościami rzeszy społecznéj.

Kto najskuteczniéj jąć się może i powinien dzieła naprawy gdy ogół właśnie potrzebuje być zreformowanym?

P. Dzieduszycka wręcz odpowiada: rodzicom. Komu?!.. Najmocniéj przepraszamy, ale niepodobna nam pogodzić ciągu rozumowania z jego wypadkową Rodzicom?.. Jakto rodzicom?!..

O ile wiadomo wszem i każdemu rodzicielstwo nie jest żadną kwalifikacyą zasługi — nie jest nią nawet w „Gawędach matki.” Bo i cóż to za przyszli odnowiciele społeczeństwa którzy nietylko wychowują nietrafnie córki, ale mniéj jeszcze dbają o synów? którzy *niechcą* poświęcić się trosce wychowania, bo niepojmują jego doniosłości, i *niemogą* uczynić zadość jego wymaganiom, bo panuje między nimi według słów autorki: „rozbrat wielki i zawiść, pragnienie dobrobytu przy wstręcie do dążenia ku niemu powolnemi drogami pracy i wytrwania, lekkomyślne trwonienie zasobów bez myśli o jutrze, ufność we wrodzone uzdolnienia, a témsamém mniejsza dbałość o nabytą wiedzę, wiele poloru zewnętrznego, a mniéj istotnéj wartości, surowość względem drugich, pobłażliwość względem siebie, miłość własna zastępująca ambicyą, przekonanie, że moralność i surowe obyczaje są rzeczami podrzędnemi a ich utrata nie kazi i niepodkopuje dzielności charakteru” (str. 14). Jakimże cudownym zbiegiem najcudowniejszych zdarzeń taki niemądry Piotr mógłby mądrze wychować Marcina?

Bezwątpienia, spodziewać się cudów w naszém stuleciu, byłoby nad wszelki wyraz niepraktycznie. Idąc za radą autorki po najsilniejszych wytężeniach przeciw zewnętrznym tamom, doszlibyśmy chyba do tego, że jabłkomłodych pokoleń nieodtoczyłoby się daleko od jabłoni, czyli od stanu rzeczy, którego obraz ciemnemi farbami skreśla w opisach swoich p. Dzieduszycka. Życzyć zaś *postępu w nieskończoność* przeróżnych chorób familijnych nie jest również szczęśliwie powziętym planem. Prawdopodobnie nie chciałaby tego autorka i my też ani na chwilę nie pozwalamy sobie tak niewczesnych żądań. Ale bądźmy cierpliwsi, może szczegóły mają tu bronić słabych punktów założenia.

Zamierzając zrobić od prawidła krok dalej, musimy przystać od razu na pewne, nieuchronne ustępstwa. Przypuszczamy więc, że rodzice jakkolwiek są głównymi przedstawicielami społeczeństwa skoro jednak mowa o wykroczeniach ogólnych wyłączają się od odpowiedzialności spadającéj wtedy całym ciężarem na kawalerów i panny, tudzież na bezdzietnych małżonków, wdowców i wdowy. Lecz jeśli dziecię ma być koniecznie kształconém „w duchu rodziców” co w książce p. Dzieduszyckiéj uważa się za kardynalną podstawę wychowania—to pytanie w czyim właściwie duchu ma być kształcone: w duchu przekonań ojca, czy w duchu zasad matki? Zarówno albowiem pierwszy jak i druga mogą mieć odrębne, niezgodne z sobą nawzajem zapatrywania się—i zwykle tak bywa, gdy oboje nie odnoszą się biernie do kwestyi nierozwikłanych, a będących na porządku dziennym w teoryi i przechodzących ztąd nieznacznie do praktyki. Teorye na porządku dziennym są już same przez się faktem, krążą one w żywotnych sokach społeczeństwa i gdyby nawet niedość ujawniały się na zewnątrz, opuszczać je bez uwagi w wychowaniu, jest czynem szkodliwym, gdyż rosną one razem z młodém pokoleniem i z początku bezsilne, otoczą je kiedyś siecią potrzeb najkonieczniejszych, a po dłuższém lekceważeniu najbardziéj dotkliwych. *(d. c. n.)*

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

Gmina pierwotna i teraźniejsza.

Nasze czasy noszą na sobie przeważnie cechy indywidualizmu. Człowiek pojedynczy coraz bardziéj emancypuje się z więzów, któremi w rozmaitych kierunkach był krępowany i pod wpływem coraz nowszych i wznioślejszych pojęć o godności człowieka, znikają ograniczenia rodowe, stanowe, religijne i t. p., a osobiste zdolności występują na pierwszy plan. Podobną koleją postępuje jedno z pierwszych praw człowieka, niezbędne dla jego istnienia i rozwoju—prawo własności. Można śmiało powiedzieć, że poczucie osobistości w człowieku i prawo własności, są rzeczy jak najściśléj z sobą związane, nie mogące istnieć bez siebie. Dajmy człowiekowi własność, a wnet poczuje że jest czemś, że jest istotą uprawnioną, mającą pewien określony cel swéj działalności. Naodwrót rozbudźmy w nim poczucie osobistości, a bezwątpienia zapragnie przedmiotu na którym mógłby okazać swoje prawa, swoją wolę; jedném słowem zapragnie własności. Nie dziw więc, że i własność obecnie przybiera charakter czysto indywidualny i również jak człowiek otrząsa się z rozmaitych ścieśnień, które ciążyły nad nią od wieków.

Skutki téj dążności wszędzie się dają spostrzegać. Działalność człowieka pobudzona osobistym

interesem rzuca się na najśmielsze przedsięwzięcia; z każdym dniem zjawiają się nowe wynalazki, wznoszą fabryki, rozszerza oświata i cywilizacya wielkiemi krokami idzie naprzód. Lecz obok wzrostu ogólnéj cyfry bogactwa, wzrasta zarazem nieproporcyonalność w jego rozdzieleniu między ludnością. Tuż przy niezmiernych bogactwach stoi straszna nędza; miliony ludzi żyjących z dnia na dzień, z pracy, dobroczynności publicznéj, a nawet z występku napełniają całą zachodnią Europę. Nie mając nic do stracenia, w każdéj chwili gotowi do rozruchów, i dość małéj iskierki, żeby ten burzliwy element wybuchnął. Proletaryat jest straszliwą klęską naszych czasów; nie dziw więc, że zwraca na siebie powszechną uwagę.

Za przyczynę pauperyzmu niektórzy uczeni okrzyknęli panujący obecnie kierunek indywidualny i rozerwanie solidarności rodzin i gmin, a w powrocie do tego stanu widzą jedyną deskę ratunku. Jedni z nich (kommuniści i niektórzy socyaliści) chcą zerwać wszelkie stosunki z rzeczywistością, i podług swego poglądu na szczęście i sprawiedliwość, połączyć ludzi w falanstery związane wspólnością pracy i zysków, bez względu na naturalne różnice, na zdolność, pracę i t. p. Inni trzeźwiejsi chcą tylko zwrotu do dawnych związków rodzinnych i gminnych, których ostatki po dziś dzień się zachowały i zabytki te przestarzałe stojące w sprzeczności z potrzebami czasu podnoszą do wysokości podstaw nowéj cywilizacyi, mającéj zgotować wielką missyę społeczną narodom, u których zabytki te spotykamy.

Postaramy się wykazać o ile te zdania są uzasadnione; wprzód jednak przyjrzyjmy się tym, w każdym razie ciekawym anomaliom społecznym. Pierwszy typ majątkowéj wspólności gminy przedstawia nam Wielko-Rossya. Tam ziemia nie jest indywidualną własnością oddzielnych osób, lecz należy do całéj gminy jako osoby zbiorowéj; członkowie zaś jéj mają prawo użytkowania. Lasy i pastwiska są zostawione do wspólnego użytku; pola zaś orne i łąki rozdzielają się peryodycznie między obywatelami gminy, podług liczby dorosłych mężczyzn. Domy tylko i otaczające je ogrody, stanowią indywidualną własność. Odstępy czasu między jednym podziałem a drugim nie są stałe określone, i zależą w różnych okolicach już to od zwyczaju, już od żyzności gruntu, bądź od innych jeszcze przyczyn. W pasie czarnoziemu, gdzie ziemia może rodzić rok rocznie bez nawozu, podział odbywa się co rok, w innych miejscowościach co 3, 6, 9 lub więcéj lat, prawo wymaga, żeby przy każdém nowém oznaczeniu cyfry podatku (*), to jest co 10, 15 lat odbywał się podział. Lecz i to obchodzą w ten sposób, że przy podziale zostawiają pewną liczbę działów wolnych, które odnajmują lub wspólnie obrabiają, a potém oddają osobom, które już po podziale nabyły prawa do ziemi. Przy podziale bierze się pod uwagę nietylko ilość, ale i jakość gruntu. W tym celu całe terrytoryum gminy dzielą na kategorye, podług żyzności lub odległości od osady, każdą zaś kategoryę na tyle części, ile jest w gminie dorosłych mężczyzn. Cząstki te następnie losują się między uczestników. W majątkach prywatnych istnieje także podobny podział, z tą różnicą, że odbywa się nie podług liczby dorosłych mężczyzn, lecz podług t. zw. tiagieł, t. j. małżeństw, tak że każdy zawierający małżeństwo nabywa tém samém prawa do działu. Konieczném następstwem takiego systematu jest gospodarstwo przymusowe (Flurzwang). Ponieważ każdy dostaje nie jeden oddzielny kawałek gruntu, ale kilka maleńkich rozrzuconych pomiędzy innemi cząstkami, i nie mających osóbnego dostępu, musi się więc stósować do przyjętego przez ogół systematu agronomicznego. Nietylko wszystkie cząstki w jedném polu obracane bywają na jeden użytek, to jest pod ozyminę, jarzynę lub ugór, ale nadto roboty muszą być wykonywane jednocześnie prawie w jednym dniu.

Ukaz 1861 roku o uwolnieniu włościan zachował wspólność posiadania ziemi przez gminę; dozwolił jednak rozdziału za zgodą większości $^2/_3$ głosów uczestników.

(d. c. n.)



Drabina dla koni w górach Norwegii.



Strzelcy w górach norwegskich.

(*) Jest tu mowa o istniejącym w Rossyi podatku podusznym który się płaci od każdéj duszy męzkiéj. Dla oznaczenia jego wysokości na każdą gminę co 10, 15 lat bywa rewizya ludności, i od jednéj rewizyi do drugiéj summa podatku z gminy nie ulega zmianie, bez względu na przybycie nowych członków, a ubytek dawnych.

ROZMAITOŚCI.

— Jeden z członków amerykańskiéj missyi duchownéj, pastor Grantz, odkrył w Kairze nader ważny zabytek paleograficzny. W tamecznéj synagodze żydowskiéj, według podania zbudowanéj na lat 45 przed zburzeniem kościoła jerozolimskiego, to jest około 25 roku naszéj ery, Grantz znalazł w niszy zamurowanéj, w głębokości 10 stóp pod ziemią, bardzo starożytny rękopism Biblii w języku hebrajskim. Gdyby się dało udowodnić, że ten zabytek pochodzi z epoki prześladowania żydów w państwie rzymskiém za Tytusa, byłby to najdawniejszy ze znanych teraźniejszych odpisów Starego Testamentu w języku oryginalnym.

— Muzeum zagrzebskie wzbogacone zostało szacownym zabytkiem sztuki klassycznéj. Jest to wysokiéj wartości artystycznéj posąg Apollina, przypominający znany klejnot belwederski. Dzieło to kupiono gdzieś w Dalmacyi za liche 200 złr.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 2 (14) Ноября 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand M. Pr. i Ad.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.